

# NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

4

Ciąg dalszy.

Wolfgang przystąpił do okna, spoglądał na zieleni ogrodu i błękit nieba, jakby one miały za-  
twierdzić lub zaprzeczyć słowa Dossenaua. Myśl  
jego zabłąkała się w beziary błękitu, miłość sy-  
nowska szukała w przestworzach ukochanej mat-  
ki. Widać znalazł ją, znalazł pociechę i odpowiedź  
na słowa Dossenaua. Odstąpiwszy od okna wycią-  
gnął ku sąsiadowi rękę i rzekł głosem spokojnym,  
cokolwiek tklwym:

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję. Za  
kwadrans będę gotów do wyjazdu.

— Doskonale. Niechże cię za to uściskam. Ja  
już jestem zupełnie gotów do wyjazdu, pomówię  
jeszcze tylko kilka słów z Mühlendorferem i natych-  
miast wyjedziemy.

Skoro tylko Dossenau się oddalił, Wolfgang  
wyjął skwapliwie list Ellinory z kieszeni i czy-  
tał:

„Zalewam się łzami, że nie mogę ani je-  
dnym słowem wyjaśnić nieporozumienia, któ-  
rego ofiarą padliśmy. Nadejdzie dzień, w któ-  
rym wyjaśni się wszystko, a tymczasem pro-  
szę o współczucie i uszanowanie mojej bole-  
ści. Cierpię bardzo. Znając pańską szlachet-  
ność, jestem pewną, że nie będziesz pociągał  
do odpowiedzialności hrabiego, za wczorajsze  
nieporozumienie. Pojedynek byłby dla mnie  
ciosem śmiertelnym, więc błagam niemal na  
kolanach, abyś go pan zaniechał. Jedź pan  
szczęśliwy, towarzyszyć panu będą najser-  
deczniejsze życzenia nieszczęśliwej Ellinory“.

A więc Ellinora nie jest niegodziwą; to jakieś  
chwilowe nieporozumienie. On ją potępił! Jechać  
musi! a gdyby też odroczyć wyjazd może o godzi-  
nę, o dwie, a przez ten czas nastroczyłaby się  
może sposobność pomówienia z Ellinorą. Takie  
myśli roily się teraz Wolfgangowi po głowie i cho-  
dził zamyślony, zapomniałszy zupełnie o sposobie-  
niu się do drogi.

— Doktorze! już blisko pół godziny czekam;  
jedziemy! A cóż to — jeszcze kuferki nie zapeł-  
nione?

Wolfgang prędko ukrył list przed bystrem o-  
kiem Dossenaua i jął się pakowania rzeczy, ale  
wszystko wypadło mu z ręki, nie zgrabny był  
i nie poradny. Dossenau zabrał się do roboty —  
wszystko prędko popakował, kuferki pozamykał.  
Lokaj stał w pogotowiu w postawie dość zuchwa-  
łej, uśmiechał się ironicznie, kuferki porwał pręd-  
ko, powrzucał do osobnego furgonu i oddalił się  
z lekceważeniem. Czekał też powóz dwukonny.  
Wolfgang wychodził pomału ze swego pokoju, jak-  
by chory, lub osłabiony, potem stanął w progu  
i spoglądał smutnie ku parkowi. Zniecierpliwiony  
Dossenau podszedł ku niemu i szepnął mu do u-  
cha:

— Czego tu wyczekujesz doktorze? czy spo-  
dziewasz się może, że ci panna Ellinor przyniesie  
na pożegnanie bukiet niezapominajek? Możeby to  
i uczyniła, ale jej niema, bo pół godziny temu  
wyjechała z narzeczoną na ranną wycieczkę do  
pobliskiego lasu.

— Z narzeczoną? — rzekł Wolfgang niecier-  
pliwie — to jakiś złośliwy domysł.

— Wcale nie domysł mój doktorze, tylko naj-  
istotniejsza prawda. Wiem o tem z najlepszego  
źródła, bo z ust uszczęśliwionego ojca. Wczoraj  
wieczorem odbyła się ta radosna rodzinna uroczy-  
stość zaręczyn, tak świetnie dobranej pary.

— Gotów jestem do odjazdu — rzekł Wolfgang  
i prędko wskoczył do powozu.

Konie ruszyły z miejsca, powóz zaturkotał i po-  
sunął się klusem, za powozem postępował furgon  
z rzeczami. Dossenau zapalił fajkę swoim zwycza-  
jem i puszczał kłęby dymu. Wolfgang wcisnął się  
w głąb powozu, zatonał w myślach i nic nie wi-  
dział i nie słyszał dokoła siebie. I nie pomyślał  
nawet, jak wysiedli z powozu na stacyi kolejowej,  
jak wsiedli do pociągu. Nie przerywał tego rozma-  
rzenia Dossenau, wiedząc z doświadczenia, że ta-  
kie wzruszenia moralne same przetrwać się mu-  
szą, że najlepszym lekarzem dusz bywa tylko  
czas. Już kilka stacyi ujechali, gdy nagle odezwał  
się Wolfgang:

— Nadmieniał mi pan wczoraj, że jakieś spra-  
wy finansowe łączą pana z Mühlendorferem i że pan  
tylko dla tych spraw przybył do Walramsegg.  
Ten nagły odjazd pański jest dla mnie zagadką  
i lękam się, że pan może przez wzgląd na mnie

pospieszył się z wyjazdem. Może pańskie sprawy  
ucierpią na tym pośpiechu?

— Nie lękaj się o to, mój doktorze; nietylko  
nic na tem nie ucierpią, ale nawet skorzystam.  
Już wczoraj panu nadmieniałem, że za gościnność  
swoją Mühlendorfer każe dobrze płacić. A zresztą,  
jeżeliś taki ciekaw, to ci opowiem, jaka to spra-  
wa. Tajemnicy w tem niema żadnej. Ale to spra-  
wa dosyć długa, a więc i nudna.

— Bardzo mnie zajmować będzie.

— Pamiętaj, że sam tego chciałeś. Otóż — mu-  
szę ci powiedzieć, że z wielu powodów, a może  
i z dziwactwa, sprzykrzyło mi się gospodarstwo,  
zarząd wielkim majątkiem, więc tylko jeden ma-  
jątek pozostawiłem we własnej administracji. Jest  
tam rządcą, człek bardzo uczciwy i zdolny. Dwa  
inne majątki wydzierżawiłem. Gdy jeden z dzier-  
żawców i nie wypłacał i majątek pustoszył, a w  
dodatku dokuczliwym był dla mnie sąsiadem, po-  
stanowiłem, zgniewawszy się, majątek sprzedać.  
Gdy się o tem wieść rozeszła, przybywa do mnie  
jakiś młody człowiek i przedstawia się jako hra-  
bia Heillenburg z Berlina; powiada, że szuka ma-  
jątku, któryby miał rozległe lasy do polowania,  
że właśnie mój majątek bardzo mu się nadaje  
i gotów żądać cenę kupna bez wahania zapłacić.  
Zapomniałem jakoś wtedy, że Niemiec — a Pru-  
sak to nie wszystko jedno. Wierząc ślepo, że ów  
młody hrabia ma na prawdę zamiłowanie w lasach  
i polowaniach, że dlatego właśnie majątek kupuje,  
skłoniłem się odrazu do zawarcia ugody, no i wkrót-  
ce majątek przeszedł na własność hrabiego. Ba!  
teraz pokazało się, że co innego Prusak, a co in-  
nego Niemiec. Trzeba było na to berlińskiego pru-  
skiego junkra, ażeby służył za faktora takiemu  
królowi kolejowemu, jak Mühlendorfer. Berlińsko-  
pruski hrabia Heillenburg nie miał nawet feniga  
majątku, a ugodę ze mną zawarł — podstawiony  
przez Mühlendorfera. Może być dla pana ciekawe,  
dlaczego Mühlendorfer tak chciwie wyciągnął łapę  
po moje lasy. Oto jakiś tam geolog, chciwy sławy  
i grosza, nagadał mu, że w moim majątku znaj-  
dują się olbrzymie pokłady węgla. W tem było  
coś nie coś prawdy, o tyle, że istotnie tu i ów-  
dzie pojawiły się nieznaczne żyły węgla, ale tak  
małe i tak pośledniego rodzaju, że zakładanie ko-  
palni byłoby szaleństwem, albo wprost oszustwem.  
Mühlendorfer wiedział o tem dobrze, bo dopytywał  
się o wszystko tych znawców, którzy u mnie po-  
dejmovali badania. Ale dla Mühlendorfera było to  
obojętne, on nie myślał o kopalni na seryo, chciał  
mieć tylko jaki taki pozór do utworzenia towa-  
rzystwa akcyjnego. Oczywiście, że mógłby na czas  
jakiś temi akcyami podnieść swój kredyt, zwłasz-  
cza że Mühlendorfer przewyższa blagierskimi pomy-  
śłami nawet amerykańską reklamę. Rozpoczął za-  
wiązywanie akcyjnego towarzystwa kopalnianego.  
Kopalnia miała być natychmiast połączona koleją  
z głównym szlakiem kolejowym i w tym celu  
miało powstać towarzystwo akcyjne budowy tej  
nowej kolei. Oczywiście, że tą reklamą tumaniał  
świat, byle kredyt sztucznie podtrzymywać i roz-  
szerzać. Dla efektu przysłał ludzi, którzy odrazu  
rozpoczęli czynić spustoszenia w lesie, wyrąbywać  
mój las ukochany. Gdy mi już kilka morgów wy-  
rąbali, brakło mi cierpliwości. Pojechałem do sto-  
licy, oddałem sprawę adwokatowi, aby obalić kon-  
trakt kupna i sprzedaży z powodu, że kupujący  
był osobą podstawioną, że w dodatku nie dotrzy-  
mał honorowego zobowiązania, iż lasy pozostawi  
nie tknięte; ale z Mühlendorferem trzeba iść na pa-  
zury. Przez dziewięć miesięcy siedziałem w mie-  
ście i wojowałem z tym człowiekiem. Chciałem mu  
zwrócić natychmiast pieniądze za dobra zapłacone  
i jeszcze znaczną kwotę dopłacić, ale opierał się  
temu i wykręcał tak zrećźnie, że rozgniewany, by-  
łem już gotów wystąpić publicznie i ogłosić w  
dziennikach, jako cała ta historia o pokładach  
węgla jest czystym szalbierstwem. To jakoś prze-  
mówiło mu do przekonania, zaczął okazywać skłon-  
ność do układów i zaprosił mnie do siebie na wieś,  
do Walramsegg. Ale i tu kręcił, zwóczył, to zno-  
wu żądał zwrotu podwójnej ceny kupna, aż dopie-  
ro teraz, dzięki wczorajszej awanturze, w ciągu  
kwadransu zgodził się na wszystko, przyjął zwrot  
ceny kupna z dopłatą stu tysięcy marek. Dzięki  
zaufaniu, które powziąłem do prusko-berlińskiego  
junkra, straciłem sto tysięcy marek, kilka mor-  
gów odwiecznego lasu i nie mało zdrowia. Zyska-  
łem tylko jedno, mianowicie przez kilkomiesięczny  
pobyt w stolicy poznałem nawskróś Mühlendorfera,  
jego rodzinę, charakter i stosunki majątkowe. Tak  
więc kochany doktorze, panu zawdzięczam ostate-  
czne załatwienie sprawy.

— Czemże ja się do tego przyczynić mogłem?

— Byłem przecież świadkiem tego, co się sta-

ło, a o czym Mühlendorfer dobrze wiedział, więc lę-  
kał się jakiegoś skandalu. Zna moją popędlliwość  
i wyobraził sobie, że choćbyś pan wyjechał — zo-  
stawiając Francuza w spokoju, ja mu za pana za-  
płacę. Trzeba się starego Dossenaua pozbyć czem-  
prędzej. Wprawdzie przepadną plany tworzenia to-  
warzystw akcyjnych, kopalnianych, ale za to ocali  
się przynajmniej przedsięwzięcie francuskie. Jak-  
by tak skandal się zrobił, przepadłoby jedno  
i drugie.

Wolfgang słuchał z zajęciem tej całej historii  
i w toku opowiadania doznawał coraz żywszego  
uczucia sympatii dla człowieka, co tak kochał zie-  
mię odziedziczoną, co tak kochał szum lasu. Ten  
szorstki Dossenau, który zrazu wywarł na niego  
wrażenie odstręczające, teraz przedstawiał mu się  
jako zacny, szlachetny idealista. Żałował swych  
dawnych uprzedzeń, wyciągnął rękę do niego  
i rzekł serdecznie:

— Bardzo panu dziękuję za to opowiadanie,  
a do prawdziwej wdzięczności się poczuwam za  
okazywaną mi dotychczas życzliwość.

— Ta życzliwość, mój panie, jest bardzo samo-  
lubna. Dziwnym zbiegiem okoliczności twarz pań-  
ska przypomina mi mojego... przyjaciela, którego  
bardzo kochałem, a dawno straciłem. Bardzoś pan  
do niego podobny. Gdyby nie to, że umarł jeszcze  
przed trzydziestu laty, mógłbym myśleć, że pan  
jesteś jego synem. Jeżeli ciekawość moja pana  
nie urazi, jeżeli się nie obrazisz na mnie starego,  
to powiedz mi coś o swoim życiu.

— Historia moja bardzo prosta, chociaż dosyć  
smutna. Ojca straciłem wcześniej; byłem wtedy  
kilkoletnim chłopcem. Pamiętam, że był wzrostu  
wysokiego, ale pochylony cierpieniem i troskami;  
na twarzy bladej, zmęczonej rozlewał się jakiś  
wyraz ponury, który mnie nieraz przestraszał. Oj-  
ciec mój był Niemcem, ale w Ameryce przebywał,  
tam się ożenił i jakoś wnet po ożenieniu do oj-  
czyzny powrócił. Biedny był bardzo; utrzymywał  
rodzinę z udzielania lekcji muzyki, co nie wiele  
dochodu dawało. Niekiedy, gdy w domu nie czu-  
liśmy niedostatku, twarz jego stawała się pogo-  
dniejszą, nawet uśmiechał się niekiedy. Wówczas  
brał mnie na kolana i opowiadał mi jakieś smut-  
ne, ponure bajki o nienawidzących się braciach,  
którzy w lesie wśród nocy ze sobą walczyli; to  
znowu bajkę o wydziedziczonym synu, który tułał  
się musiał po świecie; to znowu o zbrodniarzu,  
który tylu ludzi skrzywdził, że krzywda ludzka  
spadła na niego, jakby kłatwa Boża, i w nędzy  
musiał dokonać żywota. Dziwne to było, że mój  
ojciec ani nie mówił nigdy o czemś jasnym, pogo-  
dnym, wesołym, ani też słuchać tego nie chciał.  
Gdy sobie to wszystko dzisiaj przypomnę, zdaje  
mi się, że mój ojciec znajdował jakąś rozkosz  
prawdziwą w rozmyślaniu o niedoli ludzkiej. Wśród  
zapasów o kawałek chleba dla rodziny umarł ten  
biedny człowiek, na którego obliczu nigdy uśmiech  
nie zaigrał. Straszna to była chwila, gdy moja  
matka rzuciła się na martwe zwłoki i oderwać od  
nich nie chciała. Nie rozumiałem wtedy tego wy-  
buchu rozpacz, nie pojmowałem całej grozy na-  
szego dalszego życia. Nastąpiły chwile prawdziwej  
nędzy, zanim matka zdołała wyszukać sobie jakie  
takie zarobki. Nie szczędziła sił. Ona, kobieta peł-  
na inteligencji, nie wzdygała się przyjmować bie-  
liznę do prania, to znowu zajmowała się szyciem;  
niekiedy podejmowała się posług domowych przy  
osobach chorych i opuszczonych, a wszystko to  
czyniła tak spokojnie, tak pogodnie, że nieraz  
zdawało mi się, że to jakaś święta z obrazów Ra-  
faela. Gdy podrosłem i mogłem już także cośkol-  
wiek pracować, udzielałem lekcji kolegom, praco-  
wałem ile mogłem, ażeby ulżyć tej bohaterskiej  
matce mojej.

Już kończyłem studia, cieszyłem się tą nadzie-  
ją, że wkrótce będę miał stanowisko, że teraz o-  
toczę matkę moją najtkliwszą opieką, że będzie  
mogła w wygodzie i dostatku odpocząć po takich  
trudach życia. Bóg zrzucił inaczej. Matka moja  
niedoczekala tego, umarła w chwili, gdy już dla  
dziecka nie potrzebowała pracować. Straszny żal  
ogarnął mnie po jej śmierci. Czyniłem sobie wy-  
rzuty, że ona przeze mnie umarła, że się przeze-  
mnie i dla mnie zapracowała. Oto dość łzawa hi-  
storia mojego krótkiego życia.

— Dziękuję ci mój przyjacielu. Miałeś cierni-  
stą młodość. Krewnych nie mieliście żadnych?

— Nigdy o żadnym krewnym nie słyszałem.  
Matka moja była sierotą, rodzeństwa nie miała  
żadnego. Ojciec nigdy o swej rodzinie najmniej-  
szej wzmianki nie uczynił, a nawet nie miał za-  
dnych papierów rodzinnych, tak dalece, że miejsce  
jego urodzenia było nam nie znane.

Skończył opowiadanie Wolfgang, Dossenau się